

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

6 — Pani idzie już? — zapytał.
— Tak, już późno.
— Odprowadzę panią, idę w tę samą stronę.
— Jakto? — zdziwił się zupełnie szczerze Gliniewicz. — Pan przecież mieszka na Letniej, a panna Józia na Vinohradach? To dwa przeciwległe krańce miasta.

— Idę na Vinohrady i odprowadzę pannę Józię! — oświadczył Zarnecki tonem spokojnym, ale tak bezwzględnie despotycznym i nakazującym, że Gliniewicz zapomniał języka, a Józia zbladła, przestraszona trochę.

— Idziemy, panno Józiu!
Dziewczyna wahając spoglądała to na Żarnickiego, to na Gliniewicza, ale Żarnicki hypnotyzował ją spojrzeniem, narzucał jej swoją wolę.

— Pan pomoże jeszcze pannie Staszyńskiej? Dobrze? — zaczęła nieśmiało do Gliniewicza. — Jeżeli pan Żarnicki idzie w tę samą stronę, co ja... Może pan innym razem...

— Panno Józiu, idziemy! — powtórzył Żarnicki z taką siłą intonacji, że panienska urwała w pół zdania i posłusznie skierowała się ku drzwiom.

Gliniewicz pozostał z otwartymi ze zdumienia ustami i wytrzeszczonymi oczyma.

Nie rozumiał zupełnie, co to było.
Wicherek i jego kolega Sliwowski obserwowali z zajęciem tę scenę.

— Uważałeś — zwrócił się Wicherek do kolegi — istne porwanie, wprawdzie nie Sabinki, ale Józi... Teraz rozumiem, czem ten Żarnicki bierze kobiety... Terroryzuje je po prostu.

— Różne bywają kobiety, nie każda da się terroryzować... Żarnicki szuka łatwych zdobyczy.

— Popatrzno na tego Gliniewicza! Tableau! Stoi chłopak, jak żona Lotowa w słup soli zamieniona. Punktualnie z uderzeniem godziny szóstej weszła do sali Anielka Żurakowska.

— No, no, aż się jaśniej w sali zrobiło — rzekł Wicherek — wiesz, Józek, ta panna Żurakowska, to piękność skończona!

— A tę, to uznaję — odparł Sliwowski — to jest coś więcej, niż gładka buzia i zgrabna figurka, to jest człowiek.

— Dyabło ponętny człowiek!

— Nie rób, Wicherek, słodkich, jak miód, oczu, bo to będą „stracone zachody miłości“. U tej, to nawet Żarnicki ze wszystkimi swoimi metodami demonicznymi spojrzeniami zrobiłby „fiasco“.

— Może zato „nasz piękny“ Montwiłł będzie miał więcej szczęścia. Popatrz, jak mu się oczy jarzą!

— A to, szczęście Boże! Byłaby piękna i dobrana para! Montwiłł chłop wysoce sympatyczny i bardzo rozumny... To jeden z najsympatyczniejszych ludzi, jakich poznałem w Pradze.

Montwiłł na widok Anielki zerwał się od stolika i podbiegł, aby jej dopomóc przy zdejmowaniu żakietu. Z właściwą swojej gorącej naturze żywiołowością zapomniał o zachowaniu pozorów.

Anielka podziękowała mu uprzejmie, ale bardzo spokojnie i pospieszyła przywitać się ze Staszyńskimi.

Uderzyło ją niemiłe dziwne zachowanie się obu sióstr. Hanka przywitała ją chłodno z widocznym zakłopotaniem, a Stasia podała jej zaledwie końce palców.

— Co się im stało? — myślała zaniepokojona Anielka. — Czy gniewają się na mnie? Ale o co? Może obraziłam je czem mimowolnie.

Nie umiała sobie tego wytłumaczyć.

Do „kuchni“ napływali falą nowi goście.

Smakowity zapach przysmażanej słoniny, którą były okraszone pierogi, rozszedł się po sali.

Z hałasem, z gwarem chłopięcych głosów i głośnym tupotem nóg wtargnęła teraz do sali spora gromadka ustawionych w pary chłopców, z młodszych klas gimnazjalnych.

— Cicho chłopcy, cicho, nie robić hałasu! — uspakajał prowadzący tę czeredę nauczyciel.

Dziecko, które trzymała na kolanach młoda kobieta, wyciągnęło paluszek i wskazując na chłopców, wołało radośnie.

— O! Wojsko idzie! Mamo, wojsko idzie!

Chłopcy hałaśliwie odsuwali krzesła i wołali jeden przez drugiego:

— Oj! jaki ja głodny!

— Tak, mi się jeść chce!
— A co to jest na kolację?
— Co to tak słicznie pachnie? — mówił jeden z chłopców, pociągając nosem.

— To pierogi, pierogi!

Anielka rzuciła okiem na przepełnioną salę.

— Mój Boże — rzekła zakłopotana — tyle osób, a ta panna Zerwanówna się spóźnia! Co ja pocznę sama jedna, a tu chłopcy przyszli jak zawsze z wilczym apetytem...

— Damy sobie radę, proszę pani — zapewniał Montwiłł, rozjaśnionym wzrokiem obejmując smukłą postać Anielki — damy sobie radę... Obejdziemy się bez panny Zerwanówny... Będę pani pomagał i roznosił talerze.

— Nie wątpię, że państwo dacie sobie radę doskonale we dwoje — wycodziła przez zęby Stasia, kładąc szczególny nacisk na słowa we dwoje — przy tak chętnym pomocniku wszelka inna wyreka jest zbyteczną... Zatem żegnam i życzę państwu przyjemnej zabawy. Dobranoc.

Anielka zadrżała pod nienawistnym spojrzeniem pociemniałych dziwnie w tej chwili oczu Stasi i... zrozumiała.

Stała zmieszana i wzburzona — krew uderzyła jej do głowy purpurową falą.

Nie wiedziała, w jaki sposób ma zareagować na słowa Stasi.

Hanka dyakretnie pociągnęła siostrę za rękaw.

Niemiałą tę scenę zakończyło pojawienie się oczekiwanej panny Zerwanówny.

* * *

— Panno Aniolo — mówił Montwiłł przyciszonym głosem — czemu pani zawsze tak smutna, dlaczego uśmiecha się pani tak rzadko? Wiem, że pani odczuwa głęboko to nieszczęście, które się rozszalało po świecie... Wiem, że pani boleje nad naszą dolą, nad najsmutniejszą dolą polską... Ale nie dobrze jest przesadzać... Smutek, to jak rdza dla duszy młodej, przetrawia, przegryza, niszczy... Młodość i życie mają swoje prawa... Trzeba przetrwać i zachować siłę i pogodę duszy na lepszą przyszłość, w którą wierzyć chcemy...

Anielka długą chwilę milczała. Zapatrzone przed siebie w wartki ruch uliczny pogodnego zimowego wieczoru, szukała słów odpowiedzi.

Wreszcie podniosła na młodzieńca swoje spokojne niebieskie oczy i zaczęła:

— Panie Stanisławie, znam pana wprawdzie nie wiele, ale mimo krótkiej znajomości nabrałam niezłomnego przekonania, że z pana człowiek szlachetny i uczciwy... Przytem, nie mylę się chyba, przeczuwając w panu przyjaciela... Wszak prawda?

— Panno Aniolo!...

Gorący namiętny ton, jakim były wypowiedziane te dwa słowa, był dostateczną odpowiedzią... Mówił nawet za wiele... To też Anielka pospiesznie, jakby chcąc uprzedzić wyznanie, które zawisło w powietrzu, ciągnęła dalej:

— Nie chcę, żeby mnie pan sądził fałszywie, żeby mnie pan przeceniał... Ten smutek, który pan zaobserwował u mnie, nie jest wynikiem li tylko cierpień ogólnych. Źródło jego jest bardziej egoistyczne, osobiste... Ja mam narzeczonego, panie Stanisławie...

Urwała... Nagły przypływ wzruszenia zatamował jej głos... Bała się, że się rozplacze...

Gdyby spojrzała w tej chwili uważnie w twarz swemu towarzyszowi, zobaczyłaby, jak silnie pobladł.

Ale Anielka nie o Mantwille myślała w tej chwili.

— Mam narzeczonego... On jest tam na wojnie, w polu narażony na tysiące niebezpieczeństw. Śmierć i nieszczęście czyhają na niego na każdym kroku...

Od początku wojny straciłam jego ślad, nie wiem co się z nim dzieje, nie wiem, czy on jeszcze...

Urwała znowu... Nie miała siły, nie miała odwagi dokończyć.

— A co gorsza, że ja ukrywać się muszę z moim niepokojem, z moimi obawami... Nie mogę się swobodnie i jawnie dowiadywać o niego, bo ciotka, jedyna opiekunka moja, nie chce uznać moich zaręczyn. Dlatego chodzą ciągle dławiona śmiertelnym niepokojem, najgorszymi przypuszczeniami... Niech się więc pan nie dziwi, że zawsze smutna...

Szczerze i jasno opowiedziała Montwiłłowi historię swojej miłości... Mówiła więcej sama dla siebie, jak dla niego, zapominając o celu, dla którego zaczęła tę rozmowę... Zasiadła się w swoje najdroższe wspomnienia... Sprawiało jej to ulgę, że może raz wypowiedzieć się szczerze...

Montwiłł słuchał w milczeniu z pochyloną nieco głową, nie przerywając ani jednym słowem...

Własne jego uczucie i przemocą tłumiona namiętność walczyły w nim z współczuciem dla miłości Anielki i szcunkiem dla jej cierpienia...

Wiedział, że gdyby w tej chwili jednym słowem,

jednym spojrzeniem zdradził się z tem, co działo się w jego duszy, to nieodwołalnie zerwałaby się ta nieprzyjaźń, która się snuła między nim a Anielką...

A on mimo tego, czego się dowiedział, nie chciał stracić możności widywania jej i rozmowy z nią...

Wskazała mu sama drogę, powiedziała, że uważa go za przyjaciela...

Dobrze więc, będzie jej przyjacielem, prawdziwym przyjacielem, pomocnym w tem, co ją najbardziej dotyka...

Nie może teraz niewczesnem wyznaniem rozwiązać jej sympatii i zaufania, które mu okazała...

A w przyszłości! Któż przyszłość przewidzieć może?...

— Jak się nazywa pani narzeczonego? — zapytał wreszcie Montwiłł.

— Kazimierz Walczak.

— Walczak?... Znam to nazwisko... Słyszałem je nieraz z ust Henryka Staszyńskiego... Czy daje pani ogłoszenia do dzienników?

— Nie mogę. Jakież podałabym adres? Ciotka jest pod tym względem nieubлагana...

— Panno Aniolo, czy pozwoli pani dopomóc sobie?... Podam do wszystkich krakowskich i wiedeńskich dzienników ogłoszenie, aby ci wszyscy, którzy mogą dostarczyć wiadomości o panu Walczaku, udzielili ich pod moim adresem...

— Ach! Jaki pan dobry!

Oczy Anielki zapłonęły radością. Z wyrazem głębokiej wdzięczności spojrzała na Montwiłła i spostrzegła jego niezwykłą bladość.

— Co panu jest? Czy pan słaby? Taki pan blady!

— Zdaje się pani... To światło latarni rzuca taki dziwny blask... Zresztą mniejsza o to. Więc zgadza się pani na mój projekt.

— Ależ! naturalnie, jakże może pan pytać?

— Jesteśmy zatem spiskowcami przeciwko szanownej cioci — uśmiechnął się Montwiłł z przymusem.

— Jeżeli przy pomocy pańskiej zdołam odnaleźć Kazimierza, jakże my panu oboje będziemy wdzięczni — mówiła Anielka z tem bezwiednym okrucieństwem, kobiety zakochanej w kim innym...

Kiedy zbliżali się do domu, Anielka zapraszała Montwiłła na wieczorną herbatę.

— Ciocia się ucieszy — mówiła z uśmiechem — Ona bardzo lubi pańskie towarzystwo.

Młodzieniec, który zwykle skwapliwie korzystał z każdego takiego zaproszenia, tym razem wymówił się brakiem czasu.

Chciał zostać sam, zebrać myśli, porachować się z własnymi uczuciami.

Anielka dawno zniknęła już w bramie, a Montwiłł zatrzymał się jeszcze chwilę przed kamienicą, uporczywie spoglądając w kierunku, w którym odeszła.

— Zareczona! — szepnął jakby zdławionym głosem i powolnym krokiem począł oddalać się.

ROZDZIAŁ VII.

— Jasiak spiszesz?

Zapytany uniósł głowę i usiadł na swoim legowisku ze słomy.

— Nie, dziwna rzecz, jakoś mi się spać nie chce. A ty Kaze, także zasnąć nie możesz?

— Nie mogę... Wiesz, jeżeli i tobie spać się nie chce, to możemy porozmawiać...

— Ano to mówmy, jeżeli masz co ciekawego do powiedzenia... Właściwie należałoby wypaść się porządnie, bo ze świtem czeka nas gorąca robota, ale skoro Morfeusz nie łaskaw na nas... Papierosa masz?...

— Mam!

— To dawaj!

Zapalili papierosa, a po chwili oficer nazwany przez kolegę Kazkiem, zaczął:

— Słuchaj Jasiak, wierzysz ty w przeczucia?!

— W przeczucia?! Przysięgam ci się, że nigdy nie zastanawiałem się nad tem. Wiesz, że człowiek realnie i trzeźwo myślący i ciebie zawsze za takiego uważałem. Ze zdziwieniem słucham, że Kazimierz Walczak, ścisły matematyk, pyta mnie, czy ja wierzę w przeczucia?!

Skąd ci, u diabła, przyszło do głowy takie pytanie?

Kazimierz nie odpowiadał chwilę, poczem z pewnem wahaniem w głosie zaczął:

— Wiesz, może to śmieszne, ale mnie się zdaje, że ja jutro nie wyjdę cało z tego szturm...

Nie pierwszą mi przecież, a nigdy nie miałem takiego głupiego uczucia... Ciągłe mi szumi w głowie nuta tej piosenki, którą śpiewają niemieccy żołnierze:

„O! Morgenrot! Morgenrot
du leuchtest mir zum frühen Tod“...

— Dajże spokój!... Naturalnie, że przed szturmem, jeżeli człowiek w dodatku zasnąć nie może,